

ROZMOWA „WIELOGŁOSU”

O książce Anny Burzyńskiej *Anty-teoria literatury* rozmawiają dr hab. Anna Burzyńska,
prof. Anna Łebkowska, prof. Teresa Walas,
prof. Henryk Markiewicz, prof. Ryszard Nycz,
dr Tomasz Kunz i mgr Jakub Momro

Teresa Walas: Przedmiotem tej rozmowy jest książka Anny Burzyńskiej *Anty-teoria literatury*. Proponuję jednak, by nie tyle sama książka była tematem naszych rozważań, ile problematyka, która jest w niej zawarta. Toteż najważniejsze, jak sądzę, będzie odniesienie się do tej części książki, gdzie został przedstawiony krajobraz po burzy, czyli gdzie mówi się o tym, jak dziś wygląda poetyka i teoria literatury. I jeśli zgodzimy się, że poststrukturalizm jest faktem, musimy spytać, czy te wszystkie twierdzenia, poglądy, diagnozy, które się na niego składają, rzeczywiście obligują naszą świadomość badawczą. Najprościej mówiąc, czy jako badacze podzielamy te poglądy, ignorujemy je, czy też pozostajemy z nimi w konflikcie bądź przyjmujemy wobec nich postawę negocjacyjną. To jedna sprawa. Druga, równie ważna, to podmiot autorski książki, cieleśnie obecny na naszym spotkaniu. Sprofilowałabym go na użytek naszej dyskusji jako podmiot pluralny. Po pierwsze, jest on (czyli ona) podmiotem lektury parafrazującej, za którą kryje się trud przeczytania ogromnej liczby książek i przekształcenia ich w nadrzędny dyskurs innego rodzaju. Jest to parafraza porządkująca i objaśniająca, kierująca się wolą dwustronnego porozumienia – zarówno z autorami referowanych prac, jak i z potencjalnym czytelnikiem. Po drugie, mamy do czynienia z podmiotem diagnozującym, który stwierdza zajście pewnych zdarzeń w obszarze współczesnej myśli literaturoznawczej, czy szerzej – humanistyki. Wreszcie, możemy też wyróżnić podmiot własnych przeświadczeń, identyfikujący się z prezentowanymi przez siebie stanowiskami, czyli uznający przynajmniej część z nich za słuszne czy odpowiadające „prawdzie”, którą, by być w zgodzie z duchem czasu i książki, przeznornie umieszczam w cudzysłowie. W trakcie dyskusji będziemy więc

musieli zapewne rozgraniczać te podmioty i wyraźnie precyzować, do którego z nich się zwracamy.

Proponowałabym, byśmy zaczęli od zdiagnozowania sytuacji, w jakiej znalazła się poetyka po wejściu i umocnieniu się szeroko rozumianego post-strukturalizmu; w drugiej kolejności zajmiemy się teorią. Na początek taka oto kwestia: czy jako reprezentanci pewnej wspólnoty badawczej rzeczywiście postrzegamy zasadniczą zmianę języka poetyki i czujemy się przez nią zobligowani do zrewidowania własnego sposobu myślenia? To znaczy na przykład, czy został zakwestionowany i jednoznacznie podważony pogląd, wedle którego poetyka stanowiła pewien względnie twardy grunt wiedzy teoretycznej? Pogląd pozwalający nam mniemać i dzielić się tym przekonaniem ze studentami, że teorie i metodologie są zmienne, często uzależnione od nauk ościennych (a niekiedy nawet odległych od naszej dziedziny przedmiotowej), ale istnieje twarde jądro teoretycznej wiedzy, zawierające w sobie kategorie od wieków utrwalone oraz nadal zachowujące ważność, a tym jądrem jest właśnie poetyka. Czy ta oczywistość poetyki została zniesiona, jej pozycja – zachwiana? To pierwsze pytanie, które bym zadała.

Henryk Markiewicz: Można?

Teresa Walas: Bardzo proszę.

Henryk Markiewicz: Głowy trzech Gorgon, z którymi walczy ponowoczesność, to fundamentalizm, uniwersalizm i esencjalizm. Fundamentalizm wydaje mi się przeciwnikiem po części urojonym, bo myślę, że większość nowoczesnych (będę się posługiwał tutaj tym przeciwstawieniem: nowocześni – ponowocześni) przyznałaby się raczej do probabilizmu niż fundamentalizmu poznawczego. Antyuniwersalizm i antyesencjalizm oznaczają natomiast faktycznie złą pogodę dla poetyki i – od razu powiem – dla teorii literatury jako nauk *ex definitione* generalizujących. Głosi się więc rezygnację z uniwersalnej, wszechogarniającej i monolitycznej poetyki na rzecz wielości poetyk lokalnych, uwzględniających odrębności zróżnicowanych dyskursów kulturowych, co oznacza chyba uprawianie poetyki historycznej tak jak ją uprawia na przykład Brian MacHale. Nasuwa się jednak myśl, że uzasadnione poznawczo jest porównywanie owych poetyk lokalnych. A wtedy już bez kategorii ogólnych obejść się nie można. Co więcej, ośmielałam się twierdzić, że jeśli budowanie narracyjnej poetyki uniwersalnej na poziomie *histoire* przyniosło rezultaty mierne i mało operatywne, to na poziomie *récit* zaowocowało ono bogato i użytecznie; i nikt chyba nie zrezygnuje z tych wszystkich ustaleń oraz rozróżnień, które dotyczą na przykład narratora czy czasu przedstawionego w utworach literackich, a mogą być stosowane, w odpowiednim oczywiście doborze, zarówno do narracji Homera, jak i do narracji Joyce’a. Zapewne, jednostkowości utworu i one nie są zdolne odtworzyć w jego konkretnej pełni. *Grau ist alle Theorie* – pisał Goethe, ale podobno także od niego

pochodzi sformułowanie *Individuum est ineffabile*; i tylko nakładając na to indywiduum siatkę pojęć o mniejszym lub większym stopniu ogólności możemy się do owej jednostkowości przynajmniej przybliżyć. Ja wiem, że pani profesor Burzyńskiej te rezultaty nie usatysfakcjonują, że podmioty literackie będą dla niej, cytuje: „wiązką klekocących złowieszco szkieletów”, że stratyfikacje będą „nudne”, a taksonomie nie apetyczne, tylko „apatyczne”. Otóż to wszystko prawda. Nie bądźmy jednak Che Guevarami literaturoznawstwa, nie żądamy niemożliwego. Pamiętajmy raczej o starym napomnieniu Kleinera, by nie żądać od metod naukowych tego, czego one dać nie mogą. „Kontakt duchowy czytelnika z dziełem ma stworzyć poeta, nie badacz. Badacz nie jest mistagogiem wiodącym do ekstaz mistycznych” – czy erotycznych, o których pisze profesor Burzyńska...

Anna Burzyńska: ...za Rolandem Barthesem

Henryk Markiewicz: ...jest tylko, powiada Kleiner, „niosącym światło przewodnikiem”.

Awersja ponowoczesnych do poetyki ogólnej jest dla mnie tym bardziej niezrozumiała, że nie mają oni oporów przed używaniem i nadużywaniem uniwersaliów, na przykład tropologicznych, czyli: co wolno retoryce, tego nie wolno poetyce.

Owe ponowoczesne poetyki lokalne, jak dowiedziałem się właśnie z książki Pani Profesor, różnią się jednak od nowoczesnej poetyki historycznej tym, że manifestują swój charakter konstruktywistyczny albo tylko hipotetyczny; raczej wysuwają problemy niż je rozwiązują, jak pisze Linda Hutcheon. Deklaruje się przy tym często paraliterackość tych poetyk, a to za sprawą figuryratywności i narracyjności. Co do figuryratywności: jeśli jest ona, jak twierdzą niektórzy, cechą wszystkich dyskursów, to o literackości nie rozstrzyga; to samo powiedzieć można o narracyjności. Trudno mi przy tym zrozumieć, w jakim sensie to określenie, „narracyjność”, stosuje się do poetyki. Dotychczas przez narrację rozumiało się – w odróżnieniu od opisu czy rozumowania – taki tekst, w którym występuje czasowo uorganizowana sekwencja zdarzeniowa, prowadząca do jakiejś zmiany sytuacji. Na jakiej zasadzie narracją są traktaty z zakresu poetyki, tego nie wiem. Notabene, profesor Burzyńska ostrzega, by wielkiego dyskursu, jakim jest na przykład teoria, nie mylić z wielką narracją.

Zatarciu granic między poetyką a literaturą towarzyszy zacieranie granic między poetyką celebrującą ogólność a interpretacją jako celebracją jednostkowości. Tym samym jednak poetyka traci swą tożsamość, a zarazem rezygnuje, jak twierdzi autorka omawianej przez nas książki, z naukowych roszczeń. Co znaczyłoby, że interpretacja nie może być interpretacją naukową.

Zauważa przy tym profesor Burzyńska odrzucenie hegemonii gramatycznego, a raczej lingwistycznego wzorca poetyki, a odbudowanie związku z retoryką jako teorią tropów i figur. Taka konstatacja wynika, jak mi się wydaje,

z nieuprawnionej redukcji poetyki nowoczesnej do narratologii generatywno-transformacyjnej. Inni klasycy poetyki nowoczesnej – wcześniejsi – Tomaszewski, Jakobson, Genette, u nas Mayenowa, tą tropologią intensywnie się zajmowali.

Inną cechą post-nowoczesnej poetyki miało być jej uideologicznienie, przesunięcie, cytuję, „nacisku z formalnej analizy artefaktów werbalnych na ideologiczną analizę praktyk dyskursywnych” (L. Montrose). Jak jednak miałyby wyglądać konkretnie kategorie takiej poetyki, rozumianej jako wiedza generalizująca, tego z książki się nie dowiedziałem. Dotyczy to także tego, co Greenblatt nazywa poetyką kulturową. *Expressis verbis* potępia on ucieczkę od konkretnych przypadków do abstrakcji i uważa, że można i trzeba wykonywać te konkretne zadania bez określenia swej teoretycznej pozycji. *Dixi et salvavi animam meam...*

Teresa Walas: Czy profesor Burzyńska jest gotowa do podjęcia dyskusji?

Anna Burzyńska: Tak, jestem gotowa, choć w tym, co Pan Profesor powiedział, pojawiło się wiele problemów i trudno wszystko naraz uchwycić. Tytułem pewnego usprawiedliwienia chciałabym powiedzieć, że ten tekst, od którego zaczęliśmy naszą rozmowę i do którego Pan Profesor się przede wszystkim odwoływał, to znaczy *Poetyka po strukturalizmie*, jest tekstem dość dawnym. Są tam w istocie ślady tej wczesnej fazy poststrukturalizmu, czyli tego, co Pan Profesor określił jako „cheguevaryzm”. Od tamtego czasu moje poglądy nieco złagodniały. Ta pierwsza faza poststrukturalizmu, więc okres od połowy lat sześćdziesiątych, czyli, powiedzmy, od kongresu w Baltimore do początku mniej więcej lat osiemdziesiątych, to był rzeczywiście czas dość rewolucyjny. Dominowało faktycznie nastawienie na kwestionowanie wielu tradycyjnych dogmatów, wszystkiego, co niosła z sobą dotychczasowa historia literatury i poetyka. Próbując później odtworzyć ten klimat, sama w jakimś sensie złapałam tę melodię, przyjęłam postawę takiego daleko posuniętego radykalizmu. Teraz na to patrzę już zupełnie inaczej. Musimy zacząć od tego, że sam termin poetyka pojawia się co najmniej w kilku wariantach. I jeżeli weźmiemy pod uwagę poetykę rozumianą jako tradycyjna dyscyplina z właściwymi sobie działaniami, takimi jak stylistyka, wersologia, kompozycja, genologia, to wydaje się, że ta dyscyplina nadal istnieje w swej dawnej, bardzo pożytecznej postaci i daje nam podstawowy warsztat analityczny. Natomiast główna opozycja wobec poetyki, która się pojawiła w poststrukturalizmie, to była opozycja wobec poetyki narracyjnej, wobec narratologii. Jeżeli pamiętamy kanoniczny tekst Barthesa *Wstęp do analizy strukturalnej opowiadań*, to tam jest właśnie mowa o jednym modelu, który ma objąć wszystkie egzemplarze, zmieścić wszystko w odpowiednich przegródkach. Myślę, że główne ostrze polemiczne wymierzone było właśnie w to; nie w tradycyjną, pożyteczną, pocziwą poetykę, lecz w tę o totalistycznych zapędach. Bo przecież wiadomo, że narratologia miała być tylko wstępem do stworzenia ogólnej gramatyki

literatury. Postrukturalna krytyka nie godziła w to, co przynosiła z sobą na przykład poetyka strukturalistów praskich, czy nawet poetyka formalistyczna, tylko w te propozycje, których apogeum przypada na połowę lat sześćdziesiątych: w narratologię i jej scjentystyczne ambicje. Sądzę, że w tej chwili istnieje nadal pewien opór wobec tworzenia takiej poetyki, która starałaby się ogarnąć wszystko. Wydaje mi się natomiast, że poetyka zamieniła się dziś w mocno spluralizowaną sferę rozmaitych języków opisu i to właśnie takich języków, które są w jakiś sposób zaangażowane. Nie bez przyczyny pojawiają się te wszystkie poetyki genderowe, queerowe...

Henryk Markiewicz: Ale czy one są poetykami?

Anna Burzyńska: Wydaje mi się, że one w jakimś sensie je zastępują. Oczywiście, jeśli zakładamy za poststrukturalistami, iż nie zmierzamy do stworzenia poetyki jako ogólnej dyscypliny, bo uznajemy, że mamy rozmaite typy literatur, które niezwykle różnią się od siebie. W tej chwili do opisu tych zróżnicowań używa się hasła „kulturowość”, mając na myśli etniczność, postkolonializm, kwestie rasy, płci czy kwestie seksualności. I, przynajmniej w tej chwili, nadal utrzymuje się w Ameryce – gdzie wszystkie procesy przemian zachodzą – pogląd, że nie ma możliwości stworzenia takiej poetyki, która by te wszystkie aspekty uwzględniła i ogarnęła. Wobec czego, w moim przekonaniu (a jestem tylko obserwatorką tych wszystkich przemian), poetyka jakby spluralizowała się i zamieniła, jeśli użyć terminu Rorty’ego, w słowniki czy języki opisu. Być może termin poetyka jest tu niewłaściwy. Bo jeśli czyta się na przykład analizy genderowe czy queerowe, to widać, że one używają tradycyjnych kategorii: także mówi się tam o narratorze, o podmiocie literackim, ale do tego dobudowuje się jeszcze jedno piętro. Można więc uznać tę tradycyjną poetykę za pewien rodzaj słownika czy języka opisu, który jest przydatny do takich analiz. Wydaje mi się natomiast, że nie ma już takiej generalizującej poetyki, która pozostawałaby pewnym systemem czy pewnym modelem ogarniającym całość literatury.

Teresa Walas: Poetyka zawsze była w znacznej mierze słownikiem kategorii i językiem opisu.

Anna Burzyńska: I jako słownik ona nadal istnieje.

Teresa Walas: Ale to są właśnie te wredne uniwersalia. Więc albo – albo. Jeśli mówimy: nie ma uniwersaliów, to wtedy każda kategoria, która daje się zastosować do dużej liczby egzemplarzy, jest z natury swej grzeszna.

Anna Burzyńska: Ja właśnie do tego zmierzałam, mówiąc, że nieco złągodniałam i dziś mniej radykalnie patrzę na tę sprawę. Wydaje mi się, że pewien zasób kategorii – na przykład retorycznych, dotyczących budowy dzieła

literackiego, jest niezbędny i stanowi jakieś konieczne *constans*. Jeżeli jednym z ważnych haseł, które pojawiło się w kolejnej fazie poststrukturalizmu, jest hasło użyteczności, nie ma powodu, by rezygnować z języka, który jest użyteczny. Nie należy hurtowo odrzucać tych kategorii. Zresztą chyba sami poststrukturaliści wcale do tego nie zmierzali.

Teresa Walas: Myślę, że w przypadku poststrukturalistów mamy do czynienia z niesłychanie rozbudowaną mitologią przeciwnika.

Anna Burzyńska: Strukturalizm istotnie został w pewien sposób zmitologizowany. Muszę się przyznać, że i ja początkowo, gdzieś w latach dziewięćdziesiątych, też tej mitologii w jakiejś mierze uległam. Ten właśnie okres od połowy lat sześćdziesiątych, a zwłaszcza końcówka lat sześćdziesiątych, lata siedemdziesiąte, które i we Francji, i w Ameryce były – z różnych powodów, także politycznych – dosyć burzliwe, ten okres posługiwał się dość demoniczną retoryką. Później wszystko złagodniało i okazało się, że strukturalizm nie był aż tak straszny, jak sobie wyobrażano.

Teresa Walas: Może i był straszny, ale niezupełnie taki, jakim go chcieli widzieć poststrukturaliści. Po pierwsze, stworzyli na użytek polemiki mit mimetyczności, o którym piszesz między innymi przy okazji Derridy. A to przecież strukturalizm dał się najbardziej we znaki wszelkiej referencji. O samowystarczalności i samoregulacji systemu wiedział każdy, nawet średnio zdolny uczeń de Saussure’a. Zwalczać w latach sześćdziesiątych mimetyzm, to tworzyć urojonego przeciwnika. Drugi mit Derridy, to mit ekspresyjności. Ekspresja była dla ortodoksyjnego strukturalizmu takim samym złudzeniem jak podmiotowość. Kto słyszał o ekspresji w epoce aktantów i agensów!

Anna Burzyńska: Derrida na samym początku świadomie używał takiej bardzo radykalnej retoryki, chcąc nadwężyć ten paradygmat. Mówił wprost, że dekonstrukcja na pewnym etapie jest rodzajem rewolucji. Potem przecież i on trochę spuścił z tonu.

Teresa Walas: Ale wierni czytelnicy musieli jeść tę zabę w całości, czyli przyjmować wszystkie owe poglądy z jednakowo dobrą wiarą...

Anna Łebkowska: Jeśli się można włączyć. Nawiązując do wstępnego rozróżnienia postaw wobec poststrukturalizmu, powiedziałabym, że bliska jest mi perspektywa negocjacyjna. Gdy czytałam tę książkę, miałam wrażenie, że jest to już nieco odległa problematyka, że w trakcie lektury jesteśmy w latach osiemdziesiątych. Moje zainteresowanie wzbudziło szczególnie ostatnie 30 czy 40 stron, gdzie pojawiają się zjawiska mnie przynajmniej najbliższe, gdzie z anyteorii wyłania się odmiana postteorii i teorii kulturowej, w zakończeniu książki zarysowane są bowiem wyraźnie dwie drogi. Nie ukrywam, że mnie

bliższa jest ta druga. I jeśli się czyta współczesne teksty, zwłaszcza te powstałe już w wieku XXI, łączące antropologię i literaturę, ale pisane z perspektywy badacza literatury, to tam warsztat literaturoznawczy jest przez cały czas obecny. Zapewne nie w pełni kompletny, bo na wersyfikację jakoś się nie natknęłam, niemniej genologia, strategie narracyjne, technika punktów widzenia – to są kategorie podstawowe, ważne i użyteczne. Chociaż ujawniają się kwestie problematyczne. Bo jeśli na przykład zmierzamy w stronę poetyki kulturowej, która, jak u Greenblatta, ma ambicje, by badać skrzyżowanie wielu kultur, to wtedy pojawiają się pytania. Jak rozumieć sztukę, jak rozumieć literaturę, czy wszystkie nasze kategorie poetyki do każdej literatury – powiedzmy indonezyjskiej – będą się nadawały? Tak samo jak pojawia się problem kanonu czy problem genologii widzianej z perspektywy feministycznej: co włączyć do literatury, czy ją rozszerzyć na przykład o kobiece pisarstwo intymne, czy zmodyfikować same kategorie gatunkowe. To są pytania otwarte i tu widzę możliwość szukania miejsc wspólnych, co, nie ukrywam, jest mi najbliższe. Teresa twardo postawiła kwestię uniwersaliów. A nie widzisz możliwości pośredniej, ich słabszej wersji?

Teresa Walas: Ależ one zawsze występowały w słabej wersji. Przecież *Poetyka* Arystotelesa wyrosła z konkretnej sytuacji literackiej i odnosiła do takiego a nie innego doświadczenia literackiego. Była na swój sposób normatywna, stała się – opisowa. Kategorie romantycznej wiedzy o literaturze różniły się od poetyki klasycznej. Obraz tego straszliwego terroru, tej niebywalej presji, tego gwałtu dokonywanego przez kategoryzację na bezbronnym cielesie literackiej empirii – a taki obraz rysują anty-universaliści – jest swego rodzaju fikcją produkowaną na użytek polemiki. Kategorie zawsze kształtowały się pod wpływem literatury, nie były obcymi jej narzędziami ucisku. Jedne okazywały się trwalsze, inne mniej trwałe – to wszystko. Jeśli poetyka zachodnia natknie się na fenomeny dla swoich kategorii nieprzyswajalne, na co wskazała profesor Łebkowska, to się zapewne cofnie przed ich opisem lub poszuka nowych pojęć.

Ryszard Nycz: Ja właśnie w tej sprawie: gwałcenia empirii. Chodzi o problem, który już tu wypłynął, a który nie dotyczy tylko literatury, ale też pisania o literaturze. I pisania o teorii. Wiąże się z trudnościami, jakie napotyka się, pisząc o tym, co rzeczywiście się zdarzyło, o całej złożoności tego procesu. Książka Ani Burzyńskiej jest bardzo sumienna, bardzo rzetelna i porządna, ale kiedy na przykład czytam, że od roku 1966 do 1985 trwał kryzys teorii i patrzę tu naokoło siebie, na tę część Europy, to niczego takiego nie rozpoznaję. Wszystko wyglądało inaczej. Teresa powiada, że strukturaliści nałożyli embargo na mimesę i na ekspresywność. Ale łatwo przywołać inne ważne książki od Abramsa przez Niemców, którzy pisywali o mimesis, przez Melberga po Taylora, który pisał o ekspresyjności, i tak dalej, i tak dalej. Zmierzam do tego, że autentycznym problemem pisania o przeszłości jakiegokolwiek dyscy-

pliny jest to, żeby nie homogenizować wszystkiego i nie redukować całego obrazu do negatywnego układu odniesienia, który zawsze z powodów pragmatycznych bywa doprowadzany do skrajności. Strukturaliści robili to samo ze swoją bezpośrednią przeszłością, podobnie – marksiści. Oczywiście, łatwo zrozumieć ten mechanizm. Wydaje mi się natomiast, że czymś ciekawym, a nawet fascynującym, byłoby podjąć próbę takiego opisu, który oddawałby lepiej ziarnistość tego obrazu i złożoność procesów, jakie wtedy równocześnie zachodziły. W tym samym czasie działo się bowiem wiele różnych rzeczy, które należały do różnych tradycji i stawały się składnikami rozmaitych istotnych tendencji. I właściwie nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy wszystko redukować do tego akurat, co nowego się zdarzyło w poststrukturalizmie. Nie widzę powodu, aby opowiadać tę historię z perspektywy poststrukturalistycznego finału. Jakby wieszcząc ze skutku. Wiemy, jaki był przebieg zdarzeń, więc uznajemy, że rok 1966 był rokiem założycielskim. Jednak w tymże roku 66 zdarzyło się wiele rzeczy, może równie interesujących z punktu widzenia naszej dyscypliny, ale należących do innych jej ścieżek rozwojowych.

Anna Burzyńska: Przyjęłam dokładnie takie założenie, o jakim mówisz. Nie twierdzę w tej książce, że poststrukturalizm jest wszystkim, co się wtedy zdarzyło. Chodziło mi o to, żeby pokazać poststrukturalizm jako pewną opcję rozwijającą się za plecami opcji prawowiernej. Nie piszę, że strukturalizm, czy to, co nazywamy nowoczesną tradycją teorii, kończy się w tym momencie, tylko że pojawia się opcja krytyczna, która będzie mu przez jakiś czas towarzyszyła. Istotnie natomiast nie zajęłam się przedstawianiem tego, co się działo w obrębie tej linii prawowiernej, czy tej, która kontynuowała wcześniejszą tradycję. Po prostu założyłam, że skupię się wyłącznie na tej linii krytycznej.

Ryszard Nycz: Tak to jest, że zawsze musimy pisać z perspektywy którejś sekty.

Anna Burzyńska: Powiem uczciwie: takie założenie przyjęłam.

Teresa Walas: Czy nie narzucali ci go twoi bohaterowie? To oni sugerowali, że są pępkiem świata, centralnym miejscem literaturoznawczego czy humanistycznego dyskursu, że ich myślenie ma charakter przełomowy.

Anna Burzyńska: Tę postawę także próbowałam pokazać.

Ryszard Nycz: Fascynujące jest to, że każda z tych ważniejszych figur tworzących literaturoznawczy dyskurs jest jakimś pępkiem (która to metafora zresztą podsuwa myśl nie tylko o centrum, ale i o autonomii, biorącej się z zerwania więzi z rzeczywistością...). Kto wie, czy nie ciekawiej byłoby zobaczyć,

jaką teksturę tej historii otrzymamy, gdy tę wielorakość tworzących się historii uwzględnimy.

Teresa Walas: Taką mitologizacją własnej racji, fałszującą ten realny obraz, o którym mówisz, jest ze strony poststrukturalizmu przytłumienie hermeneutyki, schowanie jej w cieniu, w którym pozostaje także w książce Ani Burzyńskiej. A przecież gdybyśmy część twierdzeń wyjętych z ust Derridy czy innych poststrukturalistów skonfrontowali z Gadamerem, powiedzmy z *Prawdą i metodą*, to okazałoby się, że w wielu punktach te racje się pokrywają: i awersję do metodologicznej presji, i miłosne zespolenie z tekstem, choć mniej prowokacyjnym językiem opisane, tu i tam da się znaleźć.

Jakub Momro: Przyznał to sam Derrida w swoim komentarzu po śmierci Gadamera. Doszedł do wniosku, że Gadamer miał rację w tym sensie, iż rozmowa na temat tekstu trwa w nieskończoność. Chciałbym jednak wrócić do naszego głównego zagadnienia. Książka napisana jest z bardzo pragmatycznego punktu widzenia; jest skrupulatnie przemyślana, znakomicie rozplanowana strategicznie. I rzeczywiście niknie tutaj wiele języków innych niż strukturalizm i poststrukturalizm. Tym, co decydowało o niewygodzie, jaka towarzyszyła mi podczas czytania owej książki, była kwestia krytyki. Co to znaczy, że poststrukturalizm jest krytyczny? Czy Derrida wczesny, z fazy krytycznej – z *Gramatologii*, z *Głosu i fenomenu*, ze swoich pierwszych książek, jest filozofem krytycznym, a z *Envois* już nie? Podobnie z Rolandem Barthes'em *et consortes*. W zasadzie wszyscy ci bohaterowie tak są przedstawiani. Tymczasem pojęcie krytyki, mówiąc najprościej, ma dwa znaczenia. Jedno bardzo wąskie i, by tak rzec, historycznie uwarunkowane, w którym przynależy do szkoły frankfurckiej, szczególnie do filozofii Habermasa, ten zaś pojawia się w książce w kontekście filozofii Lyotarda. A to trochę niebezpieczne, bo taka krytyka w wydaniu Habermasa jest mocnym narzędziem, które służy mu do wypracowania całej definicji modernizmu. Bez pojęcia krytyki według teorii Habermasa nie można przecież zrozumieć jego koncepcji modernizmu oraz całego sporu z Lyotardem. Ale w tym sensie także owa tradycja krytyczna jest teraz do odzyskania. Kiedy czyta się po latach teksty o literaturze współtwórców tej szkoły albo tych, którzy do niej przynależeli – Benjamina, Blocha czy Adorna, to okazuje się, że niezwykle interesujące byłoby zestawienie – tutaj odwołuję się do tego, co mówił profesor Nycz – poststrukturalistycznych tekstów o literaturze z pewną strategią myśli krytycznej czy dialektycznej. Tu jest drugi mocny przeciwnik strukturalistów, ponieważ on przedstawia mocną definicję nowoczesności. Wydaje mi się, że nie można tej definicji pominąć. A drugie rozumienie pojęcia krytyki, czy raczej należałoby powiedzieć – krytyczności, bo to określenie lepiej pasuje do myślicieli francuskich, każe przywołać pragmatyczny, jak sądzę, kontekst instytucjonalny. Cała sprawa z rokiem 68, kwestia rewolty poststrukturalistycznej, na tym się zasadza, że te gesty odrzucenia, czy też buntu, rozbiórki, niezależnie od całego zaplecza

filozoficznego, zmierzały także, by tak rzec, do postawienia na swoim. Jest to wątek dużo prostszy, ale i mylący w rozważaniu całej doktryny czy zespołów dyskursu. Mamy problem, jak określić to zjawisko, ponieważ krytyczność nagle się rozmywa i bohaterowie opowieści o antyteorii próbują wysforować jakieś inne języki, żeby mówić o własnej pozycji i postawie. Języki dosyć, powiedziałbym, ekscentryczne. Jednak kwestia krytycznego zaplecza teorii wydaje mi się niezwykle istotna. Gdyby wierzyć w stu procentach na przykład temu, co mówi Derrida o swej koncepcji lektury, to nie da się tam znaleźć ani grama krytyczności. Tam jest, jak powiedział profesor Markiewicz, mistagogia, która objawia się szczególnie w późnych tekstach, jak choćby w *La Carte postale*.

Anna Burzyńska: Oczywiście, że zupełnie inny jest Derrida z tego pierwszego okresu, z tego początku lat siedemdziesiątych niż ten z drugiego. W *Anty-teorii...* nie podejmowałam już wątku wczesnej fazy krytycznej w pracach Derridy, która istotnie narzuciła pewien ton poststrukturalizmowi, bo spory rozdział poświęciłam temu w *Dekonstrukcji i interpretacji*, w skład zaś tej książki wchodzi teksty późniejsze. Wydaje mi się natomiast, że tym, co charakterystyczne dla pierwszego okresu Derridy i co on w pewien sposób narzucił także i Amerykanom, jest owo *labilité*, czyli taki rodzaj krytyki, który miał zmierzać tylko do swoistego rozchwiania pojęć. Bo sam Derrida szalenie bał się ferowania wyroków, domykania, rozstrzygania. To jest heideggerowski rys jego myślenia: dokonuje się jakby zwinienia tej wcześniejszej tradycji po to, żeby ją stematyzować, żeby na nią spojrzeć krytycznie i trochę w niej namieszać, a nie po to, żeby ją odrzucić i zaproponować coś nowego. Chodzi tu raczej o wytrącenie z oczywistości i pozostawienie w tym stanie. W tym sensie nie jest to krytyka w tradycyjnym rozumieniu.

Tomasz Kunz: Chciałem nawiązać do tego, co powiedział profesor Nycz i o czym mówił również Jakub. Rzeczywiście jest chyba tak, że ten rozkład sił został tutaj przedstawiony w sposób dosyć redukcjonistyczny. Właściwie obejmuje trzech głównych aktorów: strukturalizm i hermeneutykę w roli czarnych charakterów oraz dekonstrukcję jako tę siłę, która dokonuje przewietrzenia, odświeżenia atmosfery. Strukturalizm występuje tu w formie nie tyle zmitologizowanej, ile niemal zdemonizowanej. Trochę tak jak w wypadku słynnego tekstu Barthes’a o śmierci autora, gdzie walczy się z pewnym fantomem czy upiorem, którego, jak pisał kiedyś ironicznie profesor Nycz, trzeba koniecznie przebić osinowym kołkiem, żeby nie wstał ze swego płytkiego grobu. Pytanie brzmi, czy tę historię da się w ogóle opowiedzieć w inny sposób. Bo wydaje mi się, iż ten obraz jest już tak mocno utrwalony, że trudno sobie dzisiaj wyobrazić alternatywną historię ostatnich trzydziestu, czterdziestu lat teorii literatury, historię opowiedzianą inaczej, z innej perspektywy. Tak, żeby pojawili się inni bohaterowie, żeby inaczej został ukształtowany przebieg wydarzeń.

Przyznam, że nie bardzo wiem, jak ta historia miałaby wyglądać i kim mieliby być jej nowi protagoniści.

Chciałem jeszcze zapytać o kwestię samego tekstu literackiego. Kiedy czytam, że dla drugiego pokolenia poststrukturalistów czy reprezentantów teorii kulturowej tekst staje się wyłącznie pretekstem do szeroko rozumianej aktywności politycznej, to myślę, że w tym stwierdzeniu kryje się, niestety, sporo prawdy, którą często się przesłania rozmaitymi podniosłymi deklaracjami lojalności i miłości do tekstu; także deklaracjami o charakterze etycznym. To brzmi niezwykle kusząco i atrakcyjnie, ale obawiam się, że mamy tutaj do czynienia z jakimś rodzajem uzurpacji i dominacją języków teoretycznych, które przychodzą z zewnątrz i doprowadzają do tego, iż „wiedza o literaturze przestaje być głównym problemem wiedzy o literaturze”. Tak więc naprawdę przestaje nas interesować tekst literacki, a zajmują nas ideologie, wykraczające daleko poza to, co było przedmiotem literaturoznawstwa. Tekst literacki coraz częściej staje się pretekstem, ilustracją, a nawet narzędziem w walce politycznej.

Anna Burzyńska: To zdanie, które zacytowałeś z książki, odnosi się też do konkretnego momentu historycznego, czyli do mniej więcej połowy lat osiemdziesiątych w Ameryce, kiedy to badacze amerykańscy, głównie ci zbliżeni do kręgów dekonstrukcjonistycznych, nagle się przerazili, że oni tak narcystycznie dłubią w tych tekstach, że ich czytanie służy jedynie kwestionowaniu dogmatów jakiejś ortodoksyjnej hermeneutyki. I natychmiast pojawiły się te hasła: polityka, ideologia, etyka, zaangażowanie. Zaczęto szukać w tekście przejawów dyskryminacji kobiet czy mniejszości – rasowych, seksualnych, etnicznych. Ten nurt faktycznie na parę lat zdominował amerykańską zwłaszcza teorię literatury i krytykę literacką. Był też taki moment, kiedy w tej ogólnie rozumianej „polityce” widziano pewne antidotum na dekonstrukcję, w pierwszej fazie właśnie skupioną na mechanizmach tekstowych i sterylnie teoretycznych problemach. Ale wydaje mi się, że ten polityczno-ideologizujący impet wyraźnie dziś osłabł.

Anna Łebkowska: Nie ukrywam, że te problemy żywo mnie i zapewne nas wszystkich obchodzą. W tej perspektywie kulturowej, którą przecież w większości tu przyjmujemy, też widzę niebezpieczeństwa traktowania literatury jako symptomu, jako jednego z wielu dyskursów, jako narzędzia ideologii itd. Chcę powiedzieć, że, po pierwsze, z owych niebezpieczeństw badacze uznający się za kulturowych teoretyków literatury czy antropologów literatury w pełni zdają sobie sprawę. Obawy te są słuszne, bo w wielu znanych mi rozprawach padają zdania, że literatura to jest po prostu taki sam jak inne dokument epoki, głównie dlatego interesujący i tak go należy badać. Ale są też coraz silniejsze głosy, które ja odczytywałam z radością, wskazujące, że literatura jest jednak czymś wyjątkowym, co wcale nie oznacza, że koniecznie i wyłącznie musi być badana metajęzykiem znamienym dla swojej

własnej dyscypliny. Są też, jak wiadomo, teorie, jak chociażby teoria Isera, które powiadają, że literatura tworzy sama specyficzną, jedyną w swoim rodzaju antropologię, swoisty sposób rozumienia człowieka, w związku z czym można uznać, że literaturoznawcza antropologia jest badaniem antropologii literackiej. I to jest, moim zdaniem, rzeczywiście interesujące, choć szalenie trudne. Ten kierunek badań wyłania się w zakończeniu książki profesor Burzyńskiej. Badań pociągających, ale – jak powiadam – niosących sporo niebezpieczeństw.

Ryszard Nycz: Chciałbym wrócić do pytania wyjściowego, czyli do spraw poetyki, nie porzucając tego, o czym teraz była mowa. Rzeczywiście pewnie jest tak, jak mówiliście, że ta poetyka z lat sześćdziesiątych była poetyką specyficzną: szalenie generalną, nieempiryczną. Żeby dać prosty i wymowny przykład poetyki Todorova. W swojej *Poetyce* Todorov określał ją jako zbiór reguł produktywności tekstów w ogóle. To nie miało się wcale odnosić jedynie do literatury. Ale czymś równie znamionym jest też ewolucja Todorova, który przeszedł potem do analizy konkretnych przypadków – napisał książkę o *Constancie*, by wreszcie zająć się problematyką bliższą antropologii, ale nie wyrzekając się tego, co konkretne i jednostkowe. Można więc powiedzieć, że ta ewolucja, o której mówimy, była też udziałem koryfeusza strukturalizmu. Zmieniali się oni – jak mówi starożytne przysłowie – wraz ze swoimi zmieniającymi się czasami. Może zatem rzeczywiście nie wygląda to wszystko aż tak dramatycznie i należy zgodzić się z tym, o czym tu wcześniej mówiliśmy, że to generalne rozumienie poetyki było w historii czymś wyjątkowym. Na ogół te poetyki, które za takie właśnie, generalne, uchodzą, to są poetyki historyczne ukształtowane na określonym korpusie analizowanych tekstów. Tak jest u Arystotelesa, tak jest u nowożytników, podobnie w romantycznej poetyce Bodmera i Breitingera; wszyscy oni przecież z określonego, dość wąskiego korpusu tekstów wyprowadzają jakieś prawidłowości. Coś podobnego dzieje się i dziś, kiedy pewne reguły czy hipotezy dotyczące prawidłowości wyprowadza się z analizy konkretnych tekstów i konkretnych przypadków. Ania zresztą zwraca na to uwagę w innym miejscu, gdy pisze, że teraz mówi się o możliwości budowania teorii literatury, która powstawałaby w wyniku analizy pojedynczego tekstu. Strukturalista ortodoksyjny uznałby to za absurd, za coś, co jest sprzeczne samo w sobie. Myślę więc, że istnieje coś w dzisiejszym klimacie, coś bardzo pozytywnego, co zmierza do empiryzacji badań, co każe zajmować się tym, co konkretne, jednostkowe, unikatowe, i podejmować próby takiego opisu owego konketu, by mogły z niego wynikać pojedyncze hipotezy dotyczące regularności czy pewnych prawidłowości, które następnie mogą być testowane przy analizie innych konkretnych przypadków. Wraca się niejako do podstaw i próbuje się budować poetykę, zawierając poniekąd dotychczasowe znaczenia i funkcje należących do niej kategorii, czyli właśnie owe uniwersalia, do momentu póki nie sprawdzi się ich faktycznej przydatności. Niektóre książki są pisane na tej właśnie zasadzie: wprowadzania

możliwie daleko idących generalizacji o charakterze hipotez ze skrupulatnej, wieloperspektywicznej analizy poszczególnych zjawisk, książek czy przypadków. Mnie się to wydaje czymś bardzo obiecującym.

Jakub Momro: Sądzę, że to właśnie może być bardzo dobra lekcja, którą można wyciągnąć z tej rewolty. Bo to jest w zasadzie przejście od utopii do praktyki, co uznałbym za najciekawszy rezultat poststrukturalistycznego zamieszania. Poetyka staje się jednym z wielu uprawnionych słowników, dzięki któremu możemy czytać teksty.

Teresa Walas: Dzięki któremu także możemy się porozumiewać. Bo jeśli tak będzie, że do każdego utworu każdy badacz wypracuje sobie swoje narzędzia, własny, osobliwy system pojęć o metaforycznym na dodatek charakterze, to porozumienie takie nie będzie możliwe. W końcu całe owo zamieszanie wokół uniwersaliów doprowadziło także do tego, że zamiast kategorii tradycyjnych pojawiły się kategorie ekscentryczne. Jak „puchowatość” Derridy, która występuje w funkcji pewnej kategorii opisu i ma prawo uzyskać taki sam status jak, powiedzmy, narracja czy liryczność.

Jakub Momro: Tu bym się jednak nie zgodził. U Derridy, u Barthes’a, który mówi o erotyzmie, czy u Hillisa Millera, gdy skrupulatnie analizuje powieści dziewiętnastowieczne, chodzi o zderzenie idiomu pisarskiego z instytucją komentarza właściwą historii czy teorii literatury. Dla Derridy ta „puchowatość” nie jest jednym z uniwersaliów. To lokalna, pragmatycznie wykorzystywana kategoria, bardzo użyteczna, dzięki której on może przeczytać konkretny tekst. Chyba najdobitniejszym przykładem jest analiza Nietzschego z eseju *Ostrogi i style Nietzschego*. Z jednej strony mamy historię filozofii, historię czytania Nietzschego i jego interpretowania, a z drugiej – jedno słowo czy jedno zdanie, dzięki któremu Derrida pokazuje problematyczność tych odczytań i interpretacji; pokazuje, że to, co mówi Nietzsche, wcale nie jest tak oczywiste, jak nam się wydaje.

Teresa Walas: Ma Pan rację; ale równocześnie obserwujemy przechodzenie wielu takich pojęć do powszechnie używanych słowników.

Jakub Momro: To nie wina samych pomysłodawców, raczej tych, którzy oryginalne idee aplikowali potem do innych tekstów. Pojęcie aplikacji jest tu istotne, bo sama możliwość zastosowania pewnych pojęć i teorii jest w wypadku dyskursów poststrukturalistycznych o tyle niebezpieczna, że one na ogół wskazują właśnie na to, co niepowtarzalne, na jednostkowość lektury. To stanowi problem, bo z jednej strony mamy rzeczywiście pewien projekt utopijny (odwołuję się znów do Derridy) usytuowany pomiędzy idiomem a instytucją: jest to utopia czystej lektury, czy lektury idealnej. Z drugiej zaś strony

– zwykłą, codzienną praktykę, charakterystyczną na przykład dla dydaktyki uniwersyteckiej.

Ryszard Nycz: Jedno zdanie. Chcę powiedzieć, że faktycznie jest takie niebezpieczeństwo wytworzenia języka izolującego, jakiegoś czysto subiektywnego języka krytycznego. Ale jednocześnie, skoro większość z nas raczej się zgadza, że nie można się spotkać na płaszczyźnie teorii, że nie ma takiej jednej, która by była współmierna i akceptowalna dla wielu; skoro nie można się spotkać na płaszczyźnie metody, bo metod też jest wiele i one także nie są współmierne, to może okazją do spotkania mógłby być konkretny tekst, o który można się pokłócić, na którym będzie można testować metody, weryfikować teorie i próbować sprawdzać, czyja wykładnia się utrzyma. Może to będzie właśnie szansą na zbudowanie pola do negocjacji, nowego gruntu, który być może się wyłoni z takiego obgadywania konkretnego tekstu.

Anna Burzyńska: Właśnie jestem świeżo po takim eksperymencie, ponieważ próbowaliśmy z profesorem Krzysztofem Orzechowskim z Akademii Teatralnej w Warszawie zinterpretować na kilka sposobów *Kosmos* Gombrowicza – to znaczy odnieśliśmy się najpierw do tradycyjnych interpretacji na przykład Jarzębskiego czy Głowińskiego, a następnie spróbowaliśmy przeczytać ten tekst za pomocą zupełnie nowych języków – na przykład języka post-Lacanowskiego, języka queerowego, genderowego, feministycznego – i zobaczyć, co z tego zderzenia wyniknie, w jakiej mierze te różne interpretacje zdołają się z sobą skomunikować. Często okazywało się, że mówi się o tych samych rzeczach, używając innej terminologii, innej perspektywy, a równocześnie to poszerzenie kontekstów interpretacyjnych pozwalało wiele spraw ująć jaśniej, dopowiedzieć czy pogłębić. Przyniosło to bardzo interesujące rezultaty.

Teresa Walas: Ale jest tu też pewne niebezpieczeństwo, że utwór staje się pretekstem do swobodnego wyżycia się różnych metod....

Tomasz Kunz: Właśnie chciałem o to zapytać. Bo przypomina to sytuację, o której mówił Rorty w związku z antologią interpretacji Conradowskiego *Jądra ciemności*. Pokazywał, że tam są przewidywalne interpretacje. Że wiadomo, do jakich wniosków dojdzie zwolennik nowego historycyzmu, do jakich psychoanalityk, do jakich dekonstrukcjonista. Czy przypadkiem nie jest tak, że my, przychodząc z pewną teorią, z góry wiemy, co znajdziemy w tekście?

Ryszard Nycz: Obracasz kota ogonem, bo każdy doktryner rzeczywiście będzie chciał widzieć to, co sam do tekstu włoży.

Tomasz Kunz: Nie obracam kota ogonem; mówię o pewnej uzurpacji czy dominacji teorii, języków teoretycznych.

Ryszard Nycz: Rozumiem Twoje intencje, ale wydaje mi się, iż trzeba dopuścić myśl, że możliwa jest też inna droga. To znaczy, że można tę siłę interpretacyjną uzurpatorskiej teorii maksymalnie osłabiać – na przykład poprzez podporządkowanie jej zadaniu aktywacji semantycznego potencjału tekstu. Byśmy dzięki temu mogli posłuchać, co różnego – w stosunku do naszych spodziewań – może mówić jeden tekst. Tak rozumiem Twoją wypowiedź. Nie że zbudujemy sobie pseudo-paradygmat z dziesięciu rozmaitych metod interpretacyjnych i potem będziemy szatkować tekst na te wykładnie, lecz że spróbujemy posłuchać, jak i co może mówić różnymi językami ten oto jeden tekst, który zawsze będzie bogatszy i zawsze będzie pozostawał jakby poza każdą teorią i poza każdą metodą.

Anna Burzyńska: Ważne jest, jak się stosuje te metody czy języki, bo przecież Rorty’emu chodziło o odrzucenie takiego beznamiętnego stosunku do literatury, kiedy traktuje się ją jak próbkę pod mikroskopem histologa. Żądał postawy namiętnej, jaką on sam lansował, choć jasno nie określił, co przez to rozumie. Poza tym, chciał żeby używać literatury do własnych celów. Ja też uważam, że jeśli jakiś język pogłębia rozumienie tekstu, to nie ma powodu, by go nie zastosować.

Henryk Markiewicz: Przechodźcie już Państwo do innego tematu, interpretacji. Ja chciałbym jednak wrócić jeszcze do Pani odpowiedzi na moje wstępne uwagi. I powiedzieć, co mam na wątrobie. Z tego co Pani mówiła, zrozumiałem, że książka ma przede wszystkim charakter prezentacyjny i że dzisiaj Pani patrzy już z pewnym dystansem na radykalizm nie tylko poglądów, które Pani referuje, ale i swojego dawnego stosunku do tych poglądów. Ale w tekście *Anty-teorii...* pozostały sygnowane przez Panią wypowiedzi generalizujące w takim oto stylu: dzieło, autor, intencja, prawda to „stare upiory”, sjużet jest „osławiony”, kryteria poprawności interpretacji również „osławione”, pęd ku scjentyzmowi jest „bezsensowny”, Ingarden „złowieszczo napomina”, lektura odbywała się w strukturalizmie „pod specjalnym nadzorem” (jesteśmy o krok od metafory „obozu koncentracyjnego”), „anachroniczne są mity wyrażania sensu”, „dobrodusza wiara w skryty przekaz”, „kostyczna modelowość narratora”, „smutne i nudne węszenie za prawdą przekazu” itd. Droga Pani Profesor, nie ma zgody. Nie ma zgody na takie pisanie, zwłaszcza w książce o charakterze informacyjnym, zalecającej przy tym zasadę tolerancyjnej niezgody. Sparafrazuję to, co przed pięćdziesięciu laty mówiono w IBL-u o moich najdroższych przyjaciółkach, Marysi Żmigrodzkiej i Misi Janion, że są mimozy z nahajką. Otóż pani Aniu, Pani jest liberalną ironistką z nahajką.

Anna Burzyńska: Panie Profesorze, będę protestować, choć można tam jeszcze inne rzeczy zaleźć, które Pan Profesor pominął, na przykład „taniec

szkieletów”. To jest tylko próba wsłuchania się w pewien retoryczny klimat tamtej debaty.

Henryk Markiewicz: Mowa pozornie zależna! Czyżby mieli rację ci marxiści, którzy mówili kiedyś, że mowa pozornie zależna jest niebezpieczna?

Ryszard Nycz: To jest retoryka alibi.

Anna Burzyńska: Może i tak. Ale można to wytłumaczyć, jeśli weźmie się pod uwagę czas powstawania tych tekstów. Te, w których jest najwięcej tego rodzaju retoryki, są stosunkowo wczesne i rzeczywiście chciałam w nich oddać temperaturę tej dyskusji, dość wówczas gorącej. Jednocześnie muszę uczciwie przyznać, że się wówczas z wieloma z tych poglądów utożsamiałam. Próbowałam więc być taką egerią rewolucji poststrukturalistycznej i opowiedzieć jej historię z tego punktu widzenia.

Ryszard Nycz: Moim zdaniem to jest dowód na podświadomy strukturalizm Twoich poglądów.

Anna Burzyńska: Ależ ja jestem całkiem świadomie strukturalistką. Przynajmniej w sposobie porządkowania pewnych zjawisk.

Ryszard Nycz: Tak oddzieliłaś podmiot tekstowy, ten zretoryzowany, od empirycznego, że normalny człowiek nie byłby w stanie tego zrobić. U Ciebie one się w ogóle nie stykają.

Anna Burzyńska: Ja wyrosłam ze strukturalizmu. I profesor Markiewicz na pewno jeszcze pamięta, z jakim entuzjazmem referowałam narratologię na seminarium doktoranckim w latach osiemdziesiątych i jak byłam nią zachwycona.

Teresa Walas: Widzę, że będziemy musieli kazać obecnym tu młodym ludziom zatkać uszy, ponieważ to, co tutaj prezentujemy, jest skrajnie demoralizujące. Teraz dopiero widać, że nie ma żadnej prawdy...

Ryszard Nycz: Nie ma żadnych poglądów...

Anna Burzyńska: Nie, po prostu poglądy w pewnym momencie ulegają zmianie. Rzeczywiście na pewnym etapie byłam zafascynowana narratologią i możliwość znalezienia jakiegoś porządku w tym szaleństwie, jakim jest literatura, wydawała mi się kusząca. Później jednak doszłam do wniosku, że na dłuższą metę to jest jałowe. Na pewno był to wynik mojej następnej fascynacji – Rolandem Barthes’em. A zwroty, które Pan Profesor przytoczył, służyły mi głównie do ubarwienia narracji.

Henryk Markiewicz: Dla was to jest zabawką...

Teresa Walas: ...nam chodzi o życie. Chciałabym więc wywołać inne kwestie istotne. Pan doktor Kunz zapytał, czy można tę historię opowiedzieć inaczej. Ja bym zapytała: z jakiego miejsca mielibyśmy opowiadać tę historię? Kim jesteśmy jako zbiorowość interpretacyjno-teoretyczna? Jaki jest nasz stosunek do języka uniwersalnego? Co z tych prawd, które nas sezonowo roznamiętniały i które wzbudzały naszą polemiczną zawziętość, pozostało w nas jako trwałe osad, jako pewien grunt pozytywny? Bo przecież większość z nas tu obecnych przeszła przez szkołę strukturalną. Więc co, wszyscyśmy się jej wyrzekli? Uznaliśmy ją za fatalne zauroczenie, za stare zabawki nadające się już tylko do wyrzucenia?

Tomasz Kunz: Chciałbym się odwołać do mojego osobistego doświadczenia. Kiedy kończyłem studia i opuszczałem mury tego uniwersytetu, to takim, jak to określa Janusz Sławiński, niewywrotnym słoniem wydawał się wtedy paradygmat strukturalistyczno-semiotyczny. A kiedy zdarzyło mi się po dziesięciu latach mniej więcej wrócić tutaj w innej już roli, nagle się okazało, że tego paradygmatu nie ma, że to wszystko wyparowało i że stało się to niemal niepostrzeżenie. Chciałem zapytać o to panią profesor Burzyńską: jak z Pani punktu widzenia to przebiegało? To znaczy, dlaczego ten przełom dokonał się tutaj tak łagodnie i bezkonfliktowo? I co się naprawdę stało z polskim strukturalizmem? Z nim samym i teorią komunikacji literackiej, która jeszcze w końcówce lat osiemdziesiątych wydawała się niesłychanie obiecująca. Jak to wygląda z naszej perspektywy? Bo ja mam poczucie takiego urwanego śladu.

Anna Burzyńska: Oczywiście, w Polsce przebiegało to zupełnie inaczej niż w Ameryce. W Ameryce tak naprawdę żadnego strukturalizmu nie mieli. Ze strukturalizmem kojarzył się im duch ich nowej krytyki, która też szukała w literaturze organicznej jedności czy wewnętrznych napięć.

Henryk Markiewicz: No nie. Strukturalizm czechosłowacki za pośrednictwem Welleka jako znanego i wpływowego badacza przeniknął do literaturoznawstwa amerykańskiego.

Anna Burzyńska: Ale Amerykanie pragnęli w połowie lat sześćdziesiątych zapoznać się właśnie ze strukturalizmem w wersji narratologów czy Lévi-Straussa. I prawdę powiedziawszy, nie zdążyli tego zrobić. Toteż w gruncie rzeczy przyswoili sobie poststrukturalizm, zanim dobrze weszli w strukturalizm. Tak wyglądały u nich późne lata sześćdziesiąte i siedemdziesiąte. Tymczasem u nas polska szkoła strukturalistyczna i polska szkoła komunikacji literackiej zaczynała dopiero wchodzić w fazę swoich największych triumfów. Były to więc zupełnie niezsynchronizowane przebiegi. I to przez długi czas; przecież u nas dość długo nie mówiło się o Michelu Foucaulcie,

o Lyotardzie czy o Derridzie. Ich nazwiska pojawiały się raczej na prawach wyjątku na przykład w „Tekstach”. Artykuł *Pismo i telekomunikacja* Derridy, który ukazał się tam w roku 1975, nie miał żadnego odzewu, ponieważ prawie nikt wówczas nie rozumiał, o czym tak naprawdę Derrida mówi, jako że ten tekst trzeba było umieścić w szerszym kontekście. Zmierzam do tego, że nasza linia rozwojowa wyglądała zupełnie inaczej, szła zupełnie innym torem. U nas szkoła strukturalistyczna czy teoria komunikacji trwała znacznie dłużej. A ponadto, jak dobrze wiemy, zupełnie do czego innego strukturalizm był nam potrzebny.

Ryszard Nycz: Czy jednak pochopnie nie rezygnujemy z możliwości opisanego takich trendów generalniejszych? Jest jasne, że każda lokalna historia z lokalną kulturą i tradycjami musiała być trochę inna. Ale wstępnie się na to godząc, od razu blokujemy sobie możliwość wyszukania czegoś, co mogło przyjmować rozmaite postaci i mogło się rozkładać w czasie z pewną różnorodnością, niemniej – nie można tego wykluczyć – pozwala się odnieść do jednej orientacji. Może tylko wydaje się nam, że jesteśmy skazani na mnożenie takich sekciarskich spojrzeń albo też na sondy zapuszczane w różne kultury bez możliwości jakiegokolwiek ich zderzenia, odniesienia i widoków na budowanie ogólniejszej siatki...

Anna Burzyńska: Oczywiście, że to zasługuje na porządne opisanie, czego ja już nie zrobię. Jeżeli wziąć pod uwagę tę naszą szkołę strukturalistyczną, to kim innym jest na przykład Janusz Sławiński, a kim innym Okopień-Sławińska, czy Kazimierz Bartoszyński, nie mówiąc już o Głowińskim. Nawet więc nasza lokalna historia może się okazać skomplikowana. A co dopiero jej konfrontacja z tym, co działo się wówczas, powiedzmy, w Stanach Zjednoczonych.

Tomasz Walas: Niewątpliwie, taka szerokopasmowa historia myśli teoretycznej jest do napisania. Tymczasem jednak pozostaje w mocy pytanie pana doktora Kunza, czy i jak strukturalizm w Polsce został unieważniony.

Anna Burzyńska: Nie wiem, czy akurat mnie wypada ferować ten wyrok...

Tomasz Kunz: Może sam się unieważnił...

Anna Lebkowska: Może się po prostu zużył, wyczerpał....

Henryk Markiewicz: Jak można mówić, że się wyczerpał? Czy poza historiami ballady, ody i historią powieści młodopolskiej napisał ktoś porządną strukturalistyczną historię jakiegoś gatunku literackiego? Wy macie wszyscy świerzba metodologicznego!

Teresa Walas: Myślę, że raczej trzeba by powiedzieć: pozostał niewyczerpany.

Anna Burzyńska: To znaczy w postaci niedokończonego projektu. Tak jak pisał o modernizmie Adorno. A nawet do pewnego stopnia z podobnych powodów.

Tomasz Kunz: Ja raczej pytałem o to, co się stało z uczniami tych wielkich strukturalistów. Dlaczego nie odbyła się wielka debata, wielka dyskusja? Dlaczego ludzie wychowywani w tradycji strukturalistycznej tak łatwo zrezygnowali, tak łatwo oddali pole?

Anna Burzyńska: Może posłuchali nowinek z zagranicy, a tamte głosy mówiły, że to się wyczerpało, że ta tradycja wytraciła już swoją energię. Przypomnieć trzeba, iż strukturalizm zszedł u nas niemal niezauważalnie. Nie było jakiegoś widocznego, ostrego starcia. W Ameryce ten konflikt na linii dekonstrukcja – nowa krytyka był bardzo wyrazisty.

Ryszard Nycz: Strukturalizm zawiera w sobie ciekawą ambiwalencję: z jednej strony jest bardzo pożyteczny, bo dostarcza repertuaru konkretnych narzędzi, które mają swoje definicje i których operacyjność łatwo sprawdzić na wybranych przykładach. Problem zaczyna się wtedy, kiedy próbujemy rzeczywiście użyć tych kategorii do jakichś głębszych czy dalej idących analiz. Wtedy się okazuje, że zasięg i prawomocność tych kategorii są ograniczone; wtedy też czasem wychodzi na jaw jałowość niektórych z nich, to, że funkcjonują one najlepiej na poziomie definicji słownikowo-encyklopedycznych, natomiast kiedy przechodzi się do poziomu operacyjnego, ich moc poznawcza słabnie.

Chciałem jednak zwrócić uwagę na to, iż w ogóle w dynamice trendów humanistycznych jest coś takiego, że ich rytm, ich sposób rozwoju ma taką inherentną cechę nagłego jak gdyby zużycia się (ongiś pisał o tym zresztą przenikliwie Sławiński); te same osoby, które się z pasją czymś zajmowały, nagle – jak dzieci – przenoszą się na inne podwórko. Tamto pozostaje niedokończone, porzucone i zastąpione czymś innym. Z takim zjawiskiem mamy do czynienia właśnie w wypadku takich strukturalistów, jak Barthes i Todorov; oni sami porzucili te zabawki, które zmagistrowali, choć przez parę lat wmawiali innym, że tylko takie procedury są naukowe i prowadzą do wiedzy prawdziwej oraz pewnej.

Henryk Markiewicz: Barthes to jest w ogóle Don Juan literaturoznawstwa...

Ryszard Nycz: Chcę przypomnieć, że Janusz Sławiński został uznany za pierwszego poststrukturalistę; Michał Głowiński, jak sam przyznaje, nie-

chętnie i rzadko wraca ostatnio do teoretycznoliterackich zainteresowań i zatrudnień. Więc można powiedzieć, że rozmaite są strategie realizacji jakichś własnych pasji: osobowe, instytucjonalne, metodologiczne... W grę wchodzi też przemiany – nierzadko to one właśnie decydują – kulturowo-politycznego środowiska... Nie wiem, czy można by wskazać na jakikolwiek ruch, teorię czy doktrynę, o której dałoby się powiedzieć, że w sposób pełny wyczerpała swoje możliwości. Po prostu pojawia się coś nowego, co zmienia punkt widzenia, aktualizuje inne konteksty, odmienną hierarchię ważności i tamto czyni czymś przeszłym. Wtedy okazuje się, że teoria dotychczas obowiązująca, która wydawała się narzędziem produktywnym, użytecznym, właściwie opisującym literaturę czy świat w ogólności, jest rupieciem. Zostaje też zaraz sprowadzona do karykatury przez następców, którzy natychmiast próbują symbolicznie zatłuc poprzedników, by na ich trupach zbudować swój własny teatrzyk teoretyczny. Ta dynamika ma więc charakter w pewnej mierze instytucjonalny, należy do wewnętrznej retoryki ewolucji myśli humanistycznej, związanej jednak zawsze blisko z wszystkimi jej zewnętrżnościami.

Anna Burzyńska: Wydaje się jednak, że w polskiej myśli teoretycznej strukturalizm był jedyną mocną szkołą. Teraz rzeczywiście wszystko się spluralizowało i nieco rozmyło.

Jakub Momro: Dla mnie ten stan rzeczy jest absolutnie normalny, bo w taki właśnie sposób byłem kształcony tu, na uniwersytecie. Jako student, czyli kilka lat temu, nie musiałem się zderzać z żadną legendą, ani stawać w opozycji do jakiegokolwiek szkoły. Wydaje mi się, że znów wracamy do problemu zderzenia z tekstem, do konkretnej lektury i testowania rozmaitych języków teoretycznych na przykładzie danego tekstu. Żeby odejść od abstrakcji, podam przykład, który też jest odpowiedzią na to, czym mógłby być dla mnie, powiedzmy, strukturalizm. Czytałem fragment z Prousta i zastanawiałem się, jakimi językami się posłużyć, jakie zaproponować studentom do analizy tego fragmentu. Wybrałem Gerarda Genette’a i Rolanda oraz Barthes’a i przetestowałem obydwa na zajęciach. W wypadku pierwszego Francuza rezultat był dosyć opłakany; w wypadku drugiego – przeciwnie. To kryterium pragmatyczne, ale rozumiane w takim właśnie mocnym, filozoficznym sensie, jest dla mnie najistotniejsze. Pragmatyka lektury nie oznacza łatwizny. Nie sądzę, by napisanie monografii jakiegoś gatunku literackiego wymagało więcej wysiłku niż subtelna lektura w stylu na przykład Hillisa Millera. To są zupełnie inne rzeczy.

Teresa Walas: Tyle tylko, że jeśli napisze Pan monografię ody i popełni Pan w niej błędy, to społeczność profesjonalistów może je Panu wytknąć i sprostować; a jeśli jest Pan Hillisem Millerem, przeprowadzającym analizę dekonstrukcyjną, wówczas jedyne, co można o niej powiedzieć, to że jest przekonująca lub nieprzekonująca.

Ryszard Nycz: Chciałbym tu zrobić jedną uwagę. Sądzę, że sytuacja, jaką zarysował Jakub Momro, ów stan pluralizmu w nauczaniu uniwersyteckim, jest raczej unikatowa. Mnie się wydaje, że w większości uniwersytetów i akademii w Polsce na ogół sytuacja jest inna, że tam dominującym stylem myślenia jest styl strukturalny. U nas zresztą też pewnie poetyka ma w dalszym ciągu przede wszystkim strukturalny charakter.

Teresa Walas: Panie Jakubie, jest Pan wśród nas najmłodszy. Czy mógłby Pan powiedzieć, który z języków analizy literackiej jest dla Pana najbardziej, że się tak wyrażę, naturalny czy najbliższy; jest czymś na kształt analityczno-interpretacyjnego odruchu?

Jakub Momro: Może ujmę to nieco inaczej: powiem o kilku tradycjach, które mi są bliskie, i z których czerpię. Po pierwsze, to tzw. szkoła genewska, wątek nieco zapoznany w polskiej praktyce interpretacyjnej, a jeśli się pojawia, to jest traktowany dosyć prostodusznie. Druga linia, czy raczej konstelacja autorów, głównie francuskich, którzy mnie inspirują, to ci, którzy stawiają na inwencyjność. Na tę zatem kategorię, która, chciałbym przypomnieć, nie należy wyłącznie do Derridy z czasów *Psyche* i *Wynajdywania innego*, ale też do pocziwego Starobinskiego, który pisał o XVIII wieku i wynajdywaniu wolności.

Ryszard Nycz: A żaden frankfurczyk nie znajdzie się na tej liście?

Jakub Momro: Oczywiście, ale to jest wątek, z którym nie wiem co począć, bo tradycja szkoły frankfurckiej wydaje mi się z mojej perspektywy również zapoznana czy jakoś zasadniczo zniekształcona. Myślę o tych pozornie ekscentrycznych, bardzo dziwacznych interpretacjach Adorna, Benjamina czy Blocha. Jako przykład mógłbym wymienić książkę Adorna, która się ostatnio u nas ukazała, czyli wybór jego esejów o literaturze, i która przeszła jak na razie niemal bez echa w środowisku literaturoznawczym, a jest to nie tylko absolutnie fascynująca, lecz także jedna z fundamentalnych lektur dotyczących filozofii literatury. Ta tradycja wydaje mi się niesłuchanie intelektualnie stymulująca, a nawet powiedziałbym – uwodzicielska. Równocześnie trzeba pamiętać, że mimo całej rozpaczy filozoficznej, jaka się ujawniała w XX wieku na wielu poziomach teoretycznego dyskursu (epistemologicznym, etycznym czy egzystencjalnym), frankfurczycy bronili rozumu i emancypacji świadomego podmiotu. Dlatego to, co robili, wydaje mi się ciekawsze i bardziej produktywnie od tego na przykład, co Francuzi czy Amerykanie mówią o etyczności. Tak, w skrócie rzecz ujmując, wyglądałby mój ideał krytyki czy horyzont inspiracji.

Ryszard Nycz: To nawet spójne, bo Francuzi to w końcu też pewnego rodzaju krytyka świadomości i ta dominanta pozostaje wspólna.

Teresa Walas: Wszystko jednak wskazuje na to, że pan Jakub nie planuje krwawej rewolucji metodologicznej i na wyraźną wojnę pokoleń i tym razem się nie zanosi. Przywołał Pan w swojej wypowiedzi wątek etyczności i chciałabym na nim jeszcze przez chwilę się skupić. Ta wielka eksplozja antyteoretyczności, której się w książce profesor Burzyńskiej przyglądamy, kończy się rodzajem happy endu, czyli przedstawieniem zwrotu etycznego. W końcowej części tej książki znalazłam fragment, który przyciągnął moją uwagę, a mianowicie, że etyka czytania wymaga kompetencji, rzemiosła i sztuki rozumienia. Ciekawi mnie, kto teraz będzie wyznaczał te kryteria, skoro dotychczasowe ich fundamenty zostały poddane rozbiórce?

Anna Burzyńska: Dla mnie pojęcie kompetencji ma tu tradycyjne znaczenie. Chodzi o rzetelną wiedzę.

Teresa Walas: Przepraszam, ale o ile wiem, naiwne pojęcie rzetelnej wiedzy pierwsze padłoby pod ciosem dekonstrukcji czy szerzej pojętej myśli krytycznej. Wiedza jest przecież konstruktem, władzą, instytucją, instrumentem opresji...

Anna Burzyńska: Niekoniecznie. Mówiąc o opresywności wiedzy, miano na myśli pewien mit: pragnienie stworzenia wiedzy totalnej, która wszystko obejmie, ale nie rzetelne ustalanie reguł języka, którego się używa. Jeżeli na przykład do czytania tekstu chce się zastosować język genderowy, to przez rzetelną wiedzę czy kompetencję rozumiem to, że należy zrobić wszystko, by ten język bardzo dobrze poznać, mieć rozeznanie w jego rozmaitych wariantach, kontekstach, odniesieniach, czyli, najkrócej rzecz ujmując, wiedzieć, o czym się mówi. To jest kwestia przyzwoitości. Czytam wypowiedzi, w których szermuje się hasłami postmodernizmu, po czym okazuje się, że ktoś, kto używa tego języka, tak naprawdę nie ma zielonego pojęcia, o czym mówi. Przez te tradycyjnie wyglądające ideały, o których mówię w końcowej części książki, rozumiem tak pojętą wiedzę, a także, utożsamianą właśnie z rzemiosłem, umiejętność analizy opartej na gruntownej znajomości kategorii i reguł, które, moim zdaniem, wcale się nie zdewaluowały. Dopiero od tego poziomu można wyprawiać się w najbardziej ekscentryczne rejony poetyki.

Teresa Walas: Jeśli Ty tak twierdzisz, to ja, osoba raczej staroświecka i wobec antyteoretycznych prądów dość sceptyczna oraz zdystansowana, powinnam Ci uwierzyć. Choć nie czuję się w pełni przekonana, że po przejściu tej wielkiej burzy, gdy pył wodny opadł, zobaczyliśmy skrzące się w słońcu stare cnoty: kompetencję, rzemiosło, może jeszcze – uczciwość...

Anna Burzyńska: Tak, właśnie to. I uczciwość też. Uczciwość wobec tego, nad czym się pracuje.

Teresa Walas: Trudno mi w to uwierzyć, bo w poststrukturalistycznej lekturze znajdowałam często popisy dowolności i demagogii.

Anna Burzyńska: Nie, to czemu innemu służyło. Tak jak celem dekonstrukcji Derridy nie było zniszczenie tekstu, a pokazanie, że można go czytać naprawdę niezwykle uważnie i czujnie. Ta lektura nie podważała samego znaczenia tekstu, lecz kwestionowała oczywistość zbyt łatwo przyjmowanych interpretacji.

Teresa Walas: Ale nie powiesz, że to był język stabilizujący profesję literaturoznawczą.

Anna Burzyńska: Nie. Ale dla mnie lektury dekonstrukcjonistyczne, niezależnie od ich przewrotności i dziwaczności języka, były, w przeciwieństwie do czarnej legendy, jaka wokół nich narosła, wielką szkołą czytania tekstu, wnikania w nieoczywiste i nieodkryte do tej pory znaczenia.

Teresa Walas: To jest raczej złagodzona wersja tych działań.

Henryk Markiewicz: Pani Aniu, w sposób bardzo jednostronny charakteryzuje Pani wczesny poststrukturalizm. Ja pamiętam, jak czytałem w wykładzie Derridy z roku 1967 o afirmacji wolnej gry interpretatora. A u Hillisa Millera znajdowałem przytaczane z aprobatą cytaty z Nietzschego: że „czytanie nie jest nigdy identyfikacją sensu, jest wniesieniem sensu do tekstu, który nie posiada sensu sam w sobie” itp.

Anna Burzyńska: Połowa lat sześćdziesiątych to była poetyka rewolty!

Henryk Markiewicz: A więc niechże Pani nie mówi, że lojalność wobec tekstu, pokora, rzetelność...

Anna Burzyńska: Ta rewolta – na co nie zawsze zwraca się uwagę – była podbudowana niezwykle wnikliwymi analizami. A hasła lojalności, pokory itd. formułowane wprost to jest już późniejszy etap, lata osiemdziesiąte, przejście Hillisa Millera do krytyki etycznej.

Teresa Walas: Jeśli znajdziemy się w Egipcie i spojrzymy na piramidy, Ty, Aniu, zachwycać się będziesz głównie harmonią ich kształtu, a my z profesorem Markiewiczem będziemy liczyć trupy niewolników, którzy pracowali przy ich budowie...

Anna Burzyńska: Dobrze, to weźmy formalistów, którzy w pewnym okresie powiadają, że w utworze literackim najważniejsze jest brzmienie. Zaczynają od formy dźwiękowej, a potem precyzyjnie analizują sjużety. Nie

chęć przecież powiedzieć, że w literaturze nie ma nic poza dźwiękiem, lub że dźwięk jest najważniejszy; kanonizują ten dźwięk, żeby sobie stworzyć wyrazistą sytuację polemiczną, uderzyć czymś w ten wcześniejszy paradygmat.

Henryk Markiewicz: Zgoda. Tylko, pani Aniu, może nie należałoby mówić, że poststrukturaliści czy dekonstrukcyjniści od początku skrupulatnie i lojalnie czytali teksty.

Anna Burzyńska: Oczywiście, że oni świadomie destabilizowali siatkę pojęciową, ale równocześnie przeprowadzali naprawdę precyzyjne analizy. Jeżeli się przeczyta dokładnie na przykład analizę poezji czy prozy angielskiej dokonaną przez Hillisa Millera, to się widzi, że poza tymi wywrotowymi hasłami, głoszącymi daleko posuniętą swobodę, kryły się naprawdę niezwykle interesujące, rzetelne odczytania tekstów.

Jakub Momro: Myślę, że to jest rzeczywiście świetna szkoła czytania, przede wszystkim inwencyjna. Nie wydaje mi się, żeby ona nie była skrupulatna.

Anna Burzyńska: Przeciwnie, ona jest wręcz hiperdrobiazgowa. Weźmy *S/Z* Barthes’a, które zaczyna się od manifestu, gdzie przeciwstawia się praktykom narratologów „rozwieżdzenie” tekstu, a przecież potem widzimy bardzo rzetelną praktykę analityczną, czytanie kawałeczka po kawałeczku, pokazywanie...

Teresa Walas: Dowolnie wybranego znaczenia...

Anna Burzyńska: Owszem, dowolnie wybranego, ale Barthes jednocześnie udowadnia, że można czytać taki krótki stosunkowo tekst na wiele różnych sposobów. Tym, co dla mnie stanowi istotną zdobycz całego tego okresu, jest większe przechylenie się w stronę praktyki, co nazwałabym zwrotem interpretacyjnym. Próba uświadomienia literaturoznawcom, że czytanie literatury za pomocą różnych języków jest tak naprawdę najważniejsze. Istotne, by nie traktować żadnego z nich jako obowiązującego. Ta przemiana w mentalności badaczy jakoś się dokonała i mamy dziś poczucie, iż możemy swobodnie korzystać z rozmaitych języków, nie uzurpując sobie prawa do twierdzenia, że nasz język jest jedynym właściwym. Czy ma on coś do powiedzenia, pokazuje praktyka i te kryteria, bądź quasi-kryteria, które się pojawiły zamiast prawdy czy poprawności. Przykładowo pytanie, czy coś jest interesujące, żywe lub inspirujące do dalszych lektur, czy otwiera literaturę na rozmaite konteksty? Jeżeli to zostanie z całej tej rewolty, będę bardzo zadowolona.

Teresa Walas: Ale, po pierwsze, na tym, że jakaś lektura może się okazać ciekawa, nie zbudujemy profesjonalności naszej dyscypliny; po drugie, wy-

daje mi się, że takie kategorie, jak inwencyjny czy interesujący niewiele mają wspólnego z rzetelnością czy kompetencją, o której była mowa w związku ze zwrotem etycznym.

Henryk Markiewicz: A drobiazgowość to nie to samo co skrupulatność.

Anna Burzyńska: Toteż nie bez przyczyny pojawia się ta nadbudowa etyczna przy pragmatyzmie. Moment wejścia neopragmatystów amerykańskich wiąże się z ostrą dyskusją dotyczącą intencji, poprawności czy w ogóle stosowania kryteriów. Po czym już za chwilę pojawia się coś, co nazywa się zwrotem etycznym. Właśnie dlatego, że zaistniało poczucie pewnego niebezpieczeństwa, gdy, powiedzmy, Rorty mówi – z właściwym sobie czarem i urokiem osobistym – że możemy używać literatury do własnych celów. Sądzę więc, że dyskusja na temat kryteriów, kompetencji, rzemiosła będzie nadal trwała.

Teresa Walas: Jeśli będziemy ją podtrzymywać. Co zapowiada nasze dalsze spotkania.

Ryszard Nycz: Przyszło mi do głowy trochę, co prawda, pseudo-etymologiczne, ale na pewno bardziej koncyliacyjne i chyba bliskie kierunkowi naszej rozmowy – a może i (kto wie?!) ukrytej intencji autorki – wyjaśnienie znaczenia tytułu książki *Anty-teoria literatury*. Anty-teoria nie musi koniecznie oznaczać przeciwieństwa teorii. Należy ją może rozumieć tak jak anty-ramę, która nie jest zaprzeczeniem ramy, bo przecież spełnia jej funkcję, choć czyni to w inny sposób... Ta anty-teoria byłaby też teorią, tylko pozbawioną tych elementów, które uważaliśmy dotąd za konstytutywne, ale które, jak widać, faktycznie nie są – nie muszą być? – konstytutywne, skoro pozbawiona ich teoria nadal ma się dobrze i próbuje z dobrą wiarą, często z autentycznym zaangażowaniem badaczy, niekiedy też z dobrym skutkiem, spełniać wiele tradycyjnych zadań, a także niemało nowych, które stawia przed nią – a czasem wymusza na niej – współczesność.

Teresa Walas: Myślę, że tą optymistyczną konstatacją możemy zakończyć naszą dzisiejszą rozmowę, a za udział w niej wszystkim dziękuję.